

Dolomity – First Blood

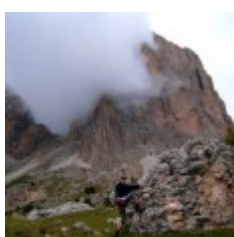
Kiedy: VII 2005

Kto: Dziku, Mickos

Gdzie: Dolomity – Sasso Piatto (2964 m.) & Piz Selva (2941 m.)

Zdjęcia: Dziku, Mickos

Tekst: Dziku









Wstęp

W lipcu 2005-go roku postanowiłem przeżyć jakąś przygodę. Było to moje pierwsze lato od rozpoczęcia pełnoetatowej pracy i najprawdziwszy, normalny urlop. Wymyśliłem sobie, że pojadę w góry Rumunii i zdobędę jakąś górę oszałamiającej wysokości przekraczającej 2000 m n.p.m. Cel dla mnie niemal nieosiągalny zważywszy, że dotychczas nie widziałem gór wyższych od Sudetów. Obce były dla mnie słowa „Gubałówka”, „Krupówki” czy nawet „Zakopianka”.

Do samotnego wypadu do Rumunii próbowano mnie zniechęcić na wiele sposobów ale ostatecznie od pomysłu odwiódł mnie kolega, wg którego lepszym pomysłem było pojechanie na Marmoladę. Nazwa śmieszna, zupełnie nic mi nie mówiąca, ale z pomocą Internetu dowiedziałem się, że Marmolada naprawdę istnieje i znajduje się we Włoszech. Kierunek trochę inny niż Rumunia ale co mi tam, spakowany już jestem, więc co za różnica w którym kierunku pojadę. Jeśli chodzi o kwestię wysokości tej góry (3343 m n.p.m.) i otaczającego ją lodowca, to informacje te brzmiały dla mnie tak obco i absurdalnie, że zupełnie je mój umysł zignorował.

Na dzień przed wyjazdem kolega przyniósł mi do pracy uprząż, a w dniu wyjazdu, bezbronny wobec drwin sprzedawców z pewnego wrocławskiego sklepu górskiego kupiłem jakieś elementy, które nie miałem pojęcia do czego służą. Do tego zafundowałem sobie za całkiem niską, promocyjną cenę kurtkę. Był to jedyny górski element mojego ubioru. I tak w glanach, bojówkach i starej kominiarce na głowie pojechaliśmy wspinać się w Dolomity. O tym, że byłem w Alpach dowiedziałem się dopiero po powrocie.

Poniższa relacja pochodzi z 2005-go roku. Jest to moja pierwsza w życiu relacja z wyprawy więc warto ją tu zamieścić by nie przepadła. Mimo, że nie zachęcam do zdobywania tego typu gór w glanach i bez kasku, to jednak do dziś jestem zwolennikiem teorii, którą można odnieść do wielu dziedzin życia. Najogólniej ujmując brzmiałaby tak: **„Jeśli nie jesteś pewien czy dasz radę wspiąć się na jakąś wysoką górę, to najpierw wejdź na wyższą.”**

Dziku'2012

Relacja

8 VII 2005 (piątek)

Wyjazd o 22:00 z dworca PKS we Wrocławiu. Jedzie tylko nas dwóch i kierowca busa – mocno narwany koleś ze skrajnie negatywnym podejściem do życia (życie nie ma sensu, wszyscy kłamią i kradną albo kradną i kłamią, trzeba narzekać bo kto nie narzeka ten się poddaje itp.).

9 VII (sobota)

0:40 – Zgorzelec, przejście granicy, i po długim nocnym marszu na azymut z potwornie ciężkimi plecakami dochodzimy do dworca po niemieckiej stronie. Tu 2,5 h czekamy na przystanku przed dworcem aż go otworzą. O 4 wchodzimy do budynku i zaczyna się problem z kupieniem biletu w automacie. Pomaga nam koleś z Polski. Wystukuje złe cyferki i kupuję zły bilet ze złą datą. Jednym słowem Zł000. W pierwszym pociągu Helga pani konduktor poprawia bilet i jest od tej pory wszystko w porządku, a gdyby mi ktoś wcześniej kasę rozmienił na dworcu to kupiłbym drugi i na początek byłbym 60 E w plecy.

Zaczyna się całodziennie tłuczenie pociągami. Goerlitz 5:05 do Dresden do blabla do Schwandorf, tu czekamy na spóźniony pociąg do Monachium (30 min.). Pociąg do Schwandorfu – brrrr – warunki ekstremalne, klimatyzacja nastawiona na minus 90

stopni w słońcu. Dojechaliśmy do Monachium, tu wsiedliśmy w pociąg do Mittenwaldu, to już będzie granica z Austrią.

Dalej autostop – blondyna z niezłym burdelem w aucie. Poza tym że umiała mówić w trzech językach – ale żaden z nich nie był polskim ani angielskim – to miło się jechało (może za wyjątkiem momentu gdy oglądała mapę jadąc autostradą i milimetry oddzieliły nas od barierki przy zwężeniu pasa. Wsiedliśmy w Schoenebergu i tu utknęliśmy na noc. Próbuje znaleźć miejsce na namiot pod lasem ale woła nas Austriak z dubeltówką. Pokazuje coś co sobie tłumaczymy że „jest tu polowanie i się nie wyśpimy”.

Trochę zagubieni idziemy sobie do ładnego domku na ładnej zielonej górze. Gdy dochodzimy ściemnia się już niemal zupełnie. Z tarasu widzimy, że w środku siedzi pięciu gości i ogląda TV. Mickos puka w szybę. Żaden tyłka nie podnosi. Co tam że dwóch typów z plecakami wielkości szafy wychodzi z ciemności i stoi im na werandzie. Otwiera nam nastoletnia dziewczynka i na nasze pytanie o kawałek pola pod namiot leci na piętro zapytać mamy. Po chwili wraca i mówi tylko: „Wherever you want”. Hmm... żaden z dorosłych nawet nie wyszedł zobaczyć kto przyszedł i o co chodzi. No więc śpimy za chatką z sianem. Dookoła piękne góry.

10 VII (niedziela)

Problemy z wydostaniem się z Schoneberga. Ochrona autostrady kiwa na nas palcem. Stajemy przy wjeździe na autobahna i po długim czasie bezowocnych prób złapania stopa (wstaliśmy o 7) postanawiamy zjeść śniadanie. Po śniadaniu ponownie próbujemy. Niemal natychmiast zatrzymuje się koleś i wiezie nas do granicy z Włochami do miasta Brenner.

Tu w publicznej toalecie robię kupę za 500 zł (czyli gubię okulary, które zostawiłem przed kabiną i gdzieś zniknęły), myjemy się (nareszcie ciepła woda!) i łapiemy (oj trochę postaliśmy w deszczu) stopa do Vipitieno (niemiecka nazwa

miasteczka brzmi Sterzing – bardzo uroczo). Tu się zaczynają schody, i to spore. Coraz trudniej złapać stopa. Mijają nas same drogie, wypasione auta i żadne nie chce zabrać dwóch załadowanych bagażem i niezbyt schludnie ubranych typków. Idziemy parę km. i nikt się nie zatrzymuje (czasem stoimy po 40 min. i machamy ale bez rezultatu) . Wreszcie popołudniu zatrzymuje się parka z Rzymu – na oko 45 letnie małżeństwo. Psujemy im bagażnik naszymi plecorami ale i tak zawożą nas pięknymi, mega-krętymi trasami (oba prawie rzygamy) do Selva Gardena (niem. Wolkenstein – równie ślicznie).

Tu miotamy się jak szaleni nie wiedząc dokąd się udać. Wkoło same bardzo strome góry – to już Dolomity. Idziemy gdzieś na oślep i docieramy do uroczego miasteczka bez ludzi. Sklepy i knajpy wyglądają jakby właściciele i klienci nagle zniknęli. Wszystkie towary powystawiane na zewnątrz, żadnych oznak że ktoś pilnuje. Jedynie w aucie siedzi dziadek z lornetką wpatrujący się w ścianę lasu i jakaś panna. Czujemy się jak z innej bajki. Siadamy pod jednym z domów (dom o nazwie Alpina – jest na zdjęciu) i zjadamy kolację. Przez dłuższy czas w budynku nie zauważyliśmy żadnego ruchu. Nikt też nie odpowiadał na pukanie. Po zmroku złapałem za klamkę i okazało się że drzwi są otwarte. Wchodzimy do środka i srając w gacie zwiedzamy dom świecąc po kątach latarką (nie wiedziałem wtedy jeszcze że istnieją czołówki więc na wyprawę zabrałem lampkę od roweru).

Dom był opuszczony, nie wyglądało żeby ktoś miał tam w najbliższym czasie zaglądać. Parę mebli, pęknięta ściana, stare wykładziny.. ale to powodowało że czuliśmy się jak w typowym japońskim (Koreańskim? Chińskim?) horrorze. Najbardziej wystraszeni byliśmy oglądając pokój dziecięcy – obdarte do połowy plakaty na ścianie, grzechocące pod nogami zabawki, kasety magnetofonowe, warcaby, lalki, wszystko to oglądane w świetle latarki przyprawiało o mocne bicie serca. Jednak padający coraz silniej na dworze deszcz spowodował że postanowiliśmy przekimać w środku. Karimaty rozłożyliśmy w

przedpokoju. Jeszcze przed pójściem spać zabarykadowaliśmy drzwi. Te do pokojów jakoś omotaliśmy liną bo najbardziej baliśmy się że to stamtąd jakieś dziecko wyjdzie. Pod wyjściowe podłożyliśmy tylko wieszak który miał spełniać rolę klina. Słuchając kapania kropel z dachu, przeczekaliśmy 15 minut wizji typu „Kłątwa”, „Dark water”, „The Ring” itd. I zasnęliśmy.

Nic nas nie zjadło więc rano ok. 7-mej zmyliśmy się.

11 VII (poniedziałek)

8:52 – autobus do Passo Sella. Na górze – w „schronisku” barman-playboy (zainstalowane języki: niemiecki i włoski) za ladą odmawia nam zostawienia plecaków w hmm... restauracji hotelowej i mamy mały problem bo z plecakami to się nie powspinamy. (Ceny – 18 E / 6-osobowy pokój i 26 E / 2-os. pokój.)

Na nasze szczęście natknęliśmy się na szefową, panią bardzo miłą, która prowadzi nas do środka i bez żadnych opłat pozwala nam zostawić plecaki. Na szlak ruszamy o 10:30 z ambitnymi planami zdobywania szczytów. W tym celu dzień wcześniej uczyłem się, jak się zakłada uprząż, a dodatkowo Mickos mówił mi co mam z czym zmontować, żeby powstała lonża do asekuracji. [Dopiero po latach dowiedziałem się od kolegi po kursie wspinaczkowym, że moja lonża mogła nie zadziałać jak należy, gdyż drugi koniec liny miałem przywiązać do uprzęży a wtedy w Dolomitach wkładałem go do kieszeni żeby mi się nie pałętał]

Wleźliśmy krętym szlakiem po pokruszonych skałach do pierwszego schroniska. Tu spotkaliśmy ekipę z Polski, która gdy usłyszała że się na via ferratę wybieramy przekonana była, że jesteśmy z jakiegoś klubu wspinaczkowego . Nie przyznałem się, że wczoraj po raz pierwszy zakładałem uprząż, a poza tym nawet nie bardzo wiem gdzie leży Zakopane. Po krótkiej rozmowie udaliśmy się do schroniska Viacenza z którego odbijała ferrata.

Stąd ruszyliśmy już samotnie na szczyt. Widoki wspaniałe.

Trasa nie za dobrze oznaczona. Albo żadnych czerwonych kropek na skałach albo za dużo bo rozchodziły się w różnych kierunkach. Mało zabezpieczeń za to sporo wspinaczki i o 16:15 Sasso Piatto (2964 m.) zdobyte! Tu parę fotek i na dół (już stromym piargiem, bez użycia rąk).

Po dość szybkim (zdecydowanie za szybkim dla moich kolan) zejściu na ok. 2200 m. czujemy że mamy dość. Nogi do d.. wchodzą.

Po paru godzinach marszu w trakcie którego spotykamy parkę siwiutkich emerytów (minimum 70 ale raczej 90 lat) którzy chwalą się że maszerują od 8 godzin w okół tej grupy górskiej, co uważam było wielkim wyczynem zważywszy że przed nimi jeszcze co najmniej 4 godziny marszu! O 20:15 docieramy do Passo di Sella. Sił już nie mamy na nic więc zostajemy u miłej pani na noc. Okazja niebywała – płacimy 12 E / os. za pokój na poddaszu + 3 E za gorący prysznic. Jeszcze przed 23-cią wciągam fasolkę, potem kawka, herbatka, parę kromek z pasztetem i pod.. ciepłutką puchatą pierzynę z najprawdziwszego pierza z jakichś pewnie alpejskich bocianów. Acha – posiłek gotowany na gazówce oczywiście (na czujnik dymu w pokoju założyliśmy na wszelki wypadek woreczek i gumkę).

12 VII (wtorek)

Wstajemy o 7:30. Po wczorajszej wędrówce czuję kolano, które nieźle dostało przy schodzeniu. Dziś wybieramy się na Piz Selva. Niedaleko – bo 20 min. od schroniska – zaczyna się via ferrata- czyli niemal pionowa ściana prowadząca na szczyt.

Ferrata ta jest jedną z najefektowniejszych ubezpieczonych dróg wspinaczkowych w Dolomitach. Prowadzi przez północno-zachodnie ściany Selli, na szczyt Piz Selva (2941m.).
[<http://www.dolomity.pl/viaferrata.php?id=10>]

Na stronkach można poczytać opis ferraty, polecam. My

wspinaliśmy się od ok. 10:30, a w pierwszym obszernym miejscu po zdobyciu ściany znaleźliśmy się chyba dopiero około 14. I tu po raz pierwszy zobaczyliśmy kozice, nawet całe stado wylegujące się na pobliskich skałach.

Po pokonaniu drugiej ściany już nie tak trudnej jak pierwsza i wspięciu się na szczyt dech nam zaparło. Przed nami rozciągał się prawie płaski księżycowy krajobraz, a w oddali jeszcze wyższy szczyt (Piz Boe 3152 m.)

Teraz kilka godzin marszu skrajem przepaści i zaczynamy stromo schodzić w dół (ajaj znów kolano po dupie dostało). Krajobraz przypomina góry skaliste (wielki kanion normalnie no) by potem przemienić się w przepiękną scenerię w postaci zielonych łąk, iglastych drzewek, strumyków, wodospadów i oczywiście kozic, koło których przechodziliśmy w odległości kilku kroków.

Natknęliśmy się na miejsce w którym kozice były dokarmiane bryłami soli (tak przynajmniej ja sobie to wyobrażam :P) i nie omieszkaliśmy trochę tej soli polizać no bo w końcu .. ZA DARRMO! Parę godzin marszu w sielankowej scenerii i wychodzimy z lasu wprost na.. szosę i autobus pełen no oczywiście niemieckich emerytów. Pomachałem do 100 latków bo widać było że osoba poniżej 40 roku życia jest dla nich w tamtym rejonie nie lada atrakcją. Koło drogi jeszcze pooglądaliśmy kilka świstaków (żywych, nie przejechanych) i wróciliśmy do schroniska, gdzie znów zostaliśmy na noc na naszym strychu. Jak w Titanicu – tylko tu biedni pod dachem a czym bogatszy to bliżej parteru) ale ja tam szczęśliwy byłem bo się znów wykąpałem!

13 VII (środa)

Spaliśmy do 9:30! Chyba darujemy sobie Marmoladę ze wzgl. na odległość i niski współczynnik czas/siła. Tak więc poleżeliśmy na słońcu do jakiejś 14 godziny i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Pierwszy etap do Selva Gardena (niemiecka niewdzięczna-niedźwięczna nazwa Wolkenstein), dokąd podwiozło

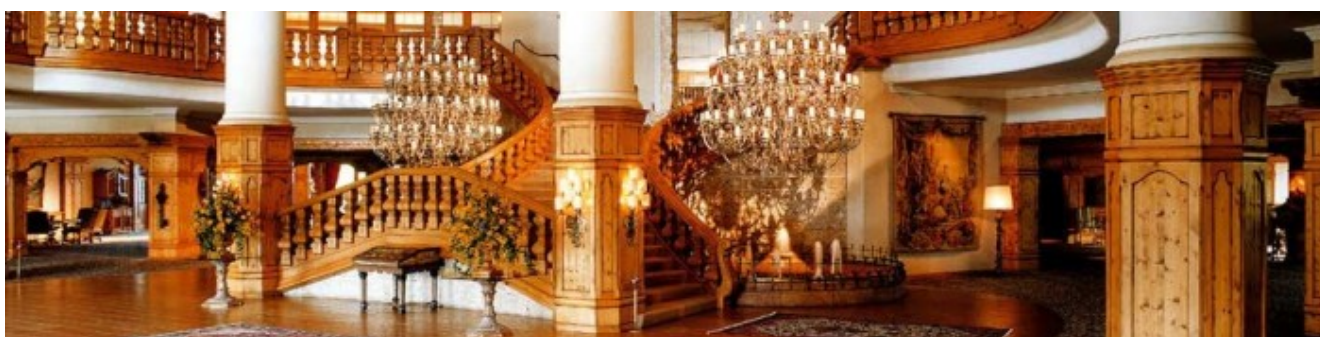
nas dwóch Włochów, którzy poznali kiedyś jakieś Polki i potrafili powiedzieć po Polsku „ładne masz oczy” i parę przekleństw. Z Selvy idziemy jakiś czas i znów stop – 2 kolesi zawiozło nas do Weidbruck. Tam przekimaliśmy się w polu kukurydzy, blisko autostrady i torów kolejowych, ale spało się dobrze.

14 VII (czwartek)

Rano dalej stopem, zatrzymała się panienka bardzo miła. Mimo, że jechała tylko do Brixen zawiozła nas dalej za miasto do wjazdu na autostradę. Stamtąd uprzejmie pogonili nas policjanci więc poszliśmy na zwykłą drogę gdzie auta zapierdziałały chyba tylko około 180 km/h. Po dłuższym czasie zatrzymał się Turek, który nie chciał nam wierzyć że nie przyjechaliśmy tam do pracy bo dużo polaków się tam do roboty zjechało ostatnio. Wysadza nas na byłej austriacko-włoskiej granicy w Brenner. Tu łapiemy najpierw 'batmobila' ze świetną laską za kółkiem, a potem koleś jeszcze jeden się zatrzymał, ale obydwójga puszczamy gdy dowiadujemy się, że tylko do Insbrucka jadą. Trzeci koleś, który się raczył zatrzymać wygląda jak rasowy zboczeniec i wszystko wskazuje na to że nim jest. Spędza z nami cały dzionek. Obwiózł po okolicznych górkach, pokazał bardzo ładne austriackie widoczki, zawiózł do 5-gwiazdkowego Interlpen – Hotel Tyrol (na zdj. poniżej) na szczycie góry, a tam zaproponował nocleg.

Ciekawie wyglądaliśmy – śmierzący, w moro i brudnych glanach wśród jakichś arabskich książąt w wieczorowych strojach przechadzających się z rodzinami w wypełnionym wielkimi kryształowymi żyrandolami i pięknymi dywanami salonach lub przy hotelowym basenie. Po usłyszeniu odmowy co do spędzenia nocy w tym raju dla chyba jednych z bogatszych ludzi na świecie zaproponował nocleg u siebie. I tu również nasz drogi 'przewodnik' usłyszał sprzeciw, ale niezniechęcony zabrał nas do Mittenwaldu gdzie w tradycyjnych bawarskich knajpach nakarmił nas, napoił, zapłacił wszelkie rachunki i co najważniejsze – pozwolił się zmyć do lasu, gdzie próbowaliśmy

dojść do siebie po tym wszystkim co nas tego dnia spotkało. Nockę spędziliśmy w namiocie na placu zabaw całkowicie obleżonym przez lisy, które wylazły z lasu.



PS. Przypomniała mi się jeszcze jedna akcja tego dnia godna opisanie. Człowiek który zabrał nas z przełęczy Brenner i obwoził po wcześniej opisanym hotelu i innych ciekawych miejscach zabrał nas na wzgórze gdzie stoi największy dzwon w całych Alpach (<http://www.friedensglocke.at/>). Tam przedstawił nas człowiekowi odpowiedzialnemu za włączanie dzwonu (codziennie o godz. 17:00) i zostaliśmy upoważnieni by tego dnia sami tenże dzwon 'odpalić'. Czułem się nieco dziwnie stojąc na schodkach i włączając niepozorny przycisk (przed nami ludzie stojący i czekający aż dzwon zacznie bić) po którym kielich zaczyna się huśtać i głośnym biciem wypełniać okoliczne góry i doliny. Potem jeszcze nasz przewodnik wciskał nam (brrr), że na tablicy pod dzwonem wyryte jest jego nazwisko, jako jednego z fundatorów tegoż właśnie dzwonu.



15 VII (piątek)

Rano niespodzianka – rozdzielamy się i od tej pory wracam do Polski sam. Pociąg do Monachium i dłuuuuga samotna podróż niemieckimi pociągami na wschód rozpoczęta. W Monachium musiałem poczekać wiele godzin do północy by jechać na wochenende ticket co pozwoliło na tańszą podróż. Poszedłem więc na poszukiwanie jakiegoś parku, a to co znalazłem przeszło moje oczekiwania. Park był duży, zielony i pełny panienek opalających się topless. Nawet wycofałem się do wejścia poczytać tabliczki bo pomyślałem że park jest tylko dla nudystów ale po chwili dostrzegłem także paru ubranych ludzi. Niestety z powodu zgubionych okularów nie bardzo jak było oceniać otaczające mnie biusty więc czas spędziłem na czytaniu książki. O północy wsiadłem w pociąg do Augsburga.

16 VII (sobota)

Tłukę się po dworcach od wczoraj. Pociąg do Hof miał opóźnienie więc mam w plecy 2 h bo do Zwickau pociąg uciekł i czekam na drugi. Właściwie to od czterech dni się nie kąpałem więc i śmierdzieć musi ode mnie straszliwie. Byle parę godzin wytrzymać, a jak już usłyszę 'ludzki' język to będę jak w domu. No! dojeżdżam do Goerlitz. Ale jestem głodny.

– END –